

W czwartej klasie technikum byłem już "starszakiem". Na jednej z dużych przerw siedzieliśmy grupką na korytarzu, niedaleko pokoju nauczycielskiego. Wyszedł z niego wicedyrektor Kozłowski. Nawet gdybyśmy go nie spostrzegli, echo daleko roznosiło stukot jego podkutych butów na kamiennej posadzce. Uśmiechnęliśmy się pod nosem: "Uwaga, podnosić tyłki i wyprost! Ułan idzie".

Wicedyrektor przezwisko miał właściwe – często przychodził do szkoły w ułańskich, zielonych bryczesach i w czarnych butach ze sztylpami do jazdy konnej. Brakowało tylko ostróg i szpicruty oraz oczywiście konia. Mógłby wtedy, jak przed wojną generał Wieniawa-Długoszowski do restauracji, wjeżdżać do szkoły na wierzchowcu.

Podnieśliśmy się.

– Dzień dobry, panie dyrektorze.

– Dzień dobry, chłopcy.

Ułan poszedł dalej; usiedliśmy z powrotem. W tym samym momencie z drugiej strony nadeszła starsza kobieta, z wyglądu wiejska babuleńka. Nie była w latach aż tak wiekowa, ale widocznie ciężka, fizyczna praca na gospodarce postarzyła ją o dobre dwadzieścia jesieni. Rozglądała się niepewnie po szerokim holu, pełnym hałaśliwej, rozbrykanej młodzieży. Kiedy dojrzała wicedyrektora, ucieszyła się wyraźnie i, nad podziw żwawo, podeszła do niego.

– Przepraszam pana profesora...

– Jestem wicedyrektorem szkoły, nazywam się Kozłowski. – Ułan przystanął. – Słucham panią.

– O, jak to dobrze – ucieszyła się babuleńka, składając ręce jak do modlitwy. – Szukam profesora Dzik, bo mnie wezwał na dzisiaj do szkoły. Widocznie mój syn, huncwot jeden, znów coś narozrabiał.

– Proszę pani, profesor nazywa się Szmelter i jest akurat w pokoju nauczycielskim. Proszę zapukać w tamte drzwi.

– Ale ja chciałam rozmawiać z profesorem Dzikim – zdziwiła się matka.

– Przecież pani mówię... eech. Niech pani zapuka do drzwi pokoju nauczycielskiego.

Uśmiechnęliśmy się, słysząc ich rozmowę i widząc machnięcie ręką zrezygnowanego Ułana. Widocznie nie pierwszy raz wezwany rodzic pytał go o „profesora Dziką”. Zdziwieni nie byliśmy. Sami przecież dopiero po dłuższym czasie dowiedzieliśmy się, że to nie jego prawdziwe nazwisko, mimo że mieliśmy z nim styczność od pierwszego dnia naszego pobytu w technikum. Na szczęście przez dwa lata zajęć z „przysposobienia obronnego” nie był w naszej klasie wychowawcą, więc nasi rodzice nie musieli szukać „profesora Dziką”.

Matka niesfornej latorośli podziękowała, podeszła do wskazanego pokoju i zapukała w drzwi. Była tak zaaferowana wezwaniem „do pana profesora”, że nawet nie zauważyła, iż nagle wokół niej zebrał się wianuszek wyrośniętej młodzieży. Takiej okazji nikt z uczniów, którzy byli w pobliżu, nie chciał przepuścić. Nasza grupka również – niby to rozmawialiśmy ze sobą, niby staliśmy dwa metry od pokoju nauczycielskiego, niby przechodziliśmy akurat, niezainteresowani niczym poza samym sobą... ale tak mogło wyglądać tylko dla niewtajemniczonego obserwatora. Wszyscy czekaliśmy z niecierpliwością na spodziewany, dalszy rozwój sytuacji.

Drzwi od pokoju otworzyły się i wyszedł, jak na zawołanie, profesor, znany nam starszakiom już pod prawdziwym nazwiskiem Szmelter. Spojrzał na kobiecinę i zadudnił:

– Słucham panią.

– Przepraszam pana profesora. Szukam profesora Dziką. Jestem matką ucznia...

– Ale ja nie nazywam się Dzik, tylko Szmelter.

– A mógłby pan poprosić profesora Dziką? On mnie wezwał. Pewnie mój syn znowu coś narozra...

– Mówię pani, że nie nazywam się Dzik! – Szmelter podniósł głos o ton wyżej.

– No toć słyszę. – Matka machnęła ręką, zniecierpliwiona. – Nie jestem głucha. Chciałabym rozmawiać z profesorem Dzikim.

– Ile razy mam mówić, że nie nazywam się Dzik, tylko Szmelter! – Profesor próbował jeszcze zachować spokój, ale wyraźnie wewnątrz już się gotował. Nie podobał mu się też pobliski obwarzanek uczniów. Zerkał krzywo w naszą stronę, ale nie znalazł pretekstu aby przepędzić młodzieńców. Nikt z nich nie okazywał najmniejszego zainteresowania przebiegiem jego rozmowy z matką, wszyscy byli zajęci własnymi sprawami. Mieliśmy swoje tematy do obgadania, coś nas mogła obchodzić jakaś rozmowa profesora i obcej kobiety. Całkowicie tę parę ignorowaliśmy, nawet nie patrzyliśmy w ich kierunku. Tylko wyjątkowo spostrzegawczy obserwator mógłby zauważyć, że na wielu twarzach uczniów drgały lekko mięśnie ust i policzków, ledwie powstrzymywane wielką siłą woli.

Mamusia, mimo że wyglądała i prawdopodobnie była wiejską kobieciną, nie przełękała się podniesionego głosu groźnego profesora. Też podniosła głos:

– Wiem już, wiem, jak pan się nazywa! Ja chcę rozmawiać z profesorem Dzikim, a nie z panem! Niech pan poprosi wreszcie profesora Dzika.

– Ostatni raz powtarzam, że nazywam się Szmelter!

– Dyc mówiłam, że słyszę. Zawoła pan profesora Dzika? Jest w pokoju, czy go nie ma?

– Przecież jestem! I nazywam się... – Poczerwieniał na twarzy, wzburzony podniósł ręce do góry i potrząsnął nimi.

– Ło Jezu! Co teraz za niekumate profesory som! – Babuleńka nie była dłużna. Podparła się rękoma pod boki i podniosła jeszcze bardziej głos – Ja nie chcę z panem rozmawiać, tylko z profesorem Dzikim.

– Trzasnęła obcasem buta w kamienną posadzkę, aż echo się rozniosło. – Z profesorem Dzikim!

Tego było za wiele dla niego. Wrzasnął: – Już nawet rodzice mnie przezywają, żadnego poszanowania dla nauczyciela! – Odwrócił się na pięcie, prawie wbiegł do pokoju i zatrasnął kobiecie drzwi przed nosem.

Zachowanie rozmówcy lekko ją zszokowało. Nie dość, że nie wiadomo czemu uparł się i nie chciał poprosić profesora Dzika, to jeszcze na końcu tak grubiańsko się zachował! I to taki kształcony profesor! To co, że ona jest ze wsi. Pańskie czasy skończyły się. Tak nie wolno, i już!

Krztusiliśmy się ze śmiechu, ale i żal nam się jej zrobiło. Stała chwilę zdeorientowana, ale nie straciła rezonu. Mruczała pod nosem: – Nic nie rozumiem. Co tutaj za nauczyciele uczą. Dlaczego nie chciał zawołać profesora Dzika? – Spojrzała w naszą stronę i zapytała się: – Chłopcy, gdzie jest dyrektor szkoły?

Naprawdę była rezolutną kobieciną. Nie dawała się zbyć tak łatwo. Jechała pewnie szmat drogi na wezwanie „profesora Dzika” i będzie go szukała do skutku, wszystkimi sposobami.

W tym momencie zabrzmiał dzwonek szkolny na lekcję. Szybko rzuciłem:

– Proszę pani, Dzik to przezwisko szkolne. Naprawdę nazywa się profesor Szmelter. To właśnie ten nauczyciel, z którym pani rozmawiała.

– To nie mógł mi tego powiedzieć?! – Kobietę prawie zatkało z wrażenia.

– Mówił pani, tylko nie mogliście się zrozumieć. Niech pani jeszcze raz zapuka i poprosi profesora Szmeltera.

– Dziękuję. A memu synowi... Niech no tylko wróci do domu!

– To pewnie nie wina syna, proszę pani. Jest z pierwszego roku? To pewnie zna profesora tylko po ksywce. My też wtedy nie znaleźliśmy prawdziwego nazwiska. Muszę już iść na lekcję. Proszę zapukać.

– Do widzenia. Dobrzy z was chłopcy. Jeszcze raz dziękuję.

– Do widzenia pani. Życzymy zdrowia.

Korciło nas wielce jeszcze zostać i zobaczyć, jak Dzik ponownie przywita matkę, kiedy już prawidłowo wymówi jego nazwisko – będzie chciała rozmawiać z profesorem Szmelterem. Niestety siła wyższa, a dokładniej rozpoczynająca się lekcja, zmusiła nas do opuszczenia miejsc na widowni „teatru groteski”. Najważniejsze i tak oglądaliśmy. To było prawdziwe *qui pro quo*.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Zdzisław, dodano 25.04.2019 11:14

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.